

grażyna plebanek
dziewczyny z portofino




foto: Jan Strupczewski

Grażyna Plebanek

(ur. 1967), dziennikarka agencji Reutersa i „Gazety Wyborczej”, debiutowała opowiadaniem publikowanym w dwumiesięczniku „Pogranicza”. Autorka powieści *Pudelko ze szpilkami* (2002), nagrodzonej w konkursie wydawnictwa Zysk i S-ka. Od pięciu lat mieszka w Sztokholmie.

W
ab
two



SERIA Z MIOTŁĄ



SERIA Z MIOTŁĄ



ukazą się:

Halina Pawłowska
*Zdesperowane kobiety
postępują desperacko*

Ena Lucía Portela
Sto butelek na ścianie

Sonia Raduńska
Białe zeszyty

Christine Angot
Kazirodztwo

grazyna plebanek
dziewczyny z portofino

I

Ze szpitala wychodzimy osobno. Hanka jedzie do domu i kładzie pożegnalny list na poduszce w sypialni rodziców, parę godzin później wsiada do pociągu do Berlina.

Wychodzę niedługo po niej, ściskam w ręku wypis po zabiegu. Idę chodnikiem zalanym rudawym światłem popołudnia, przy krawężniku szeleszczą liście. Kiedy wchodzę na jezdnię, kilka z nich wpada za mną na białe krechy świeżo odmalowanych pasów. Patrzę w górę Księżyczej – żeby złapać autobus jadący na osiedle, musiałabym iść do placu Trzech Krzyży. Zawracam na postój taksówek. Nie mam czasu, muszę znaleźć Agnieszkę, wszystko jej wytłumaczyć.

„Dlaczego powiedziałaś jej dopiero teraz?” – zapytała wczoraj matka, siadając przy mnie na szpitalnym łóżku. „Co pani powiedziała tej dziewczynie?” – dopytywała się kobieta spod okna, po tym jak Agnieszka wybiegła z sali. Gdybym powiedziała sześć lat temu – też bym ją straciła?

Taksówka staje przed śmietnikiem w naszej uliczce. Wsiadam i biegnę na przedostatnie piętro, do mieszkania Agnieszki. W progu staje macocha. Nie, nie ma jej, nie, nie wie, kiedy wróci. Schodzę, pcham drzwi mojej klatki,

z trudem wdrapuję się po ośmiu stopniach. Matka już czeka w przedpokoju. „Znalazłaś ją?” – pyta. Kręcę przecząco głową.

Następnego dnia ze szpitala wychodzi Mania. Ostatnia trzydniową córkę przed promieniami jesiennego słońca, jakby ukradkiem wdychając zapach ciemnych włosków i żółtawej skóry noworodka. Ojciec Mani idzie trochę z tyłu, w rękę niesie torbę ze skromną wyprawką.

Znowu pukam do mieszkania Agnieszki. Nie ma? Nie wiadomo, kiedy będzie?... Nie wierzę. Macocha kiwa głową ze współczuciem. Siadam na pociętej scyzorykami ławce. Przetrąciłam nasz świat.

Nie widziały go. Stały i wpatrywały się w to, co rozciągało się za nieką.

– Chcecie robić „widoczki”? – zapytała Mania, ale nie odpowiedziały. Poszła za ich wzrokiem i zatkała usta ręką.

Za placem budowy wznosiła się hałda. Zwarta i krągła jak dół bałwana, stała na straży posiekanego wykopkami krajobrazu, nietknięta i wyniosła. Ruszyły z miejsca, nie odrywając od niej oczu, minęły druty, kawałki desek, okrążyły łukiem nieruchome maszyny, pył zrytej ziemi przesypywał się między paskami sandałów. Gdy podeszły blisko, dostrzegły na boku góry ślady podeszew, jakby ktoś usiłował wspiąć się na szczyt. Bez powodzenia – kontury urywały się po kilku ślizgnięciach.

Wyciągnęły ręce, żeby dotknąć góry.

– Ej, gówniary! – usłyszały.

Szedł dołem niecki, wspinał się mozolnie po zboczu, mały jak robak, mogłyby go włożyć między

płatki kwiatów, kawałki srebrnej folii, przykryć szkłem.

– Lezicie do zboczeńców?! Są tam, na górze!

Stał przed nimi, nagle z ogromniały, ze słońcem za plecami. Nie widziały jego twarzy, usłyszały za to śmiech. Cofnęły się i wpadły na hałdę. Cień drgnął i zakrył je do połowy.

Wtedy usłyszały krzyk, wysoki, podobny do ptasiego. Spojrzały na otwarte usta Mani, poderwały się i pognały, na oślep, byle dalej od słów, które za nimi wykrzykiwał. Biegły, grzęznąc po kostki w wilgotnej ziemi, pędziły przez pole, kluczyły między pagórkami, wreszcie dopadły bloków.

– Cco to?... – zaczęła Agnieszka, oparłszy się o ścianę pokrytą drobnym żwirem.

– Czy to był robotnik? – zgięła się wpół Beata.

Mania podciągnęła zrolowane przy kostkach podkolanówki.

– Jaki robotnik! To był zboczeniec!

Pod koniec zimy Beata wyszła przed klatkę i oparła się policzkiem o metalowy słup. Przed nią był chodnik ułożony z kwadratowych płyt, za nią przeszklone drzwi i nakrapiane szaro schody, górą biegł podparty sześcioma słupami ażurowy dach, przez który przebijało blade słońce.

Beata zamieszkała na osiedlu pierwsza. Codziennie wychodziła przed klatkę, ale nie dochodziła dalej niż do pierwszej pary słupów. Wciskała twarz w chropowatą fakturę metalu, udając, że nie widzi ręki machającej w kierunku drugiej, środkowej pary słupów.

– Idź się pobawić! – artykułowały bezgłośnie usta babki uwięzionej za kuchenną szybą, ale Beata tkwiła przy słupie nieporuszona.

Nie wierzyła, że kiedykolwiek dojdzie do drugiej, a tym bardziej trzeciej, ostatniej pary słupów. Jak strażnicy pilnowały osiedla, a ona nie znała zakłęcia, które pozwoliłoby je minąć.

Wskakiwała na drzwi klatki i wozila się na nich, przymykając oczy, a obraz bloków stojących naprzeciwko, takich samych jak ten, do którego się wprowadzili, czteropiętrowych, z płaskimi, pozbawionymi kominów dachami, rozmazywał się pod powiekami. Nie było widać ciemnych okien ani tego, że tylko u nich wiszą firanki.

Kiedy śnieg leżący na pagórkach wokół bloków stopniał i spływał brązowymi smugami, żłobiąc w ziemi leje, do przedostatniej klatki podeszła dziewczynka. Przeszła pod ażurowym dachem i stanęła naprzeciwko niej.

– Masz taką samą czapkę jak ja – powiedziała. Wzięła ją za rękę i razem minęły słupy.

Agnieszka nie widziała śniegu między blokami, bo wprowadziła się, gdy robotnicy posadzili forsycje pod blokiem naprzeciwko. Pokazała Beacie piwnice obmiecione światłem zachlapanych farbą żarówek i nisze pod balkonami, gdzie chowały się, gdy padał deszcz. Razem czatowały na pomarańczową śmieciarkę, a potem biegły za nią, gdy odjeżdżała, sapiąc astmatycznie, rozkolebana na nierównej drodze ułożonej z betonowych płyt.

Po Wielkanocy w ulicę wjechały buldożery i wyrównały zwały ziemi. Robotnicy włali między bloki

jezior asfaltu, obłożyli go betonowymi krawężnikami i poukładali płyty chodnikowe między nową jezdnią a ścianami bloków; kobiety w granatowych fartuchach wsadziły do betonowych donic fioletowe i żółte bratki.

Gdy odjechały, Beata i Agnieszka usiadły na nowiutkiej ławce. Ulica zamknęła się przed nimi, stała się całością, w której pozalepiano wszelkie szczeliny, tak by nikt nie mógł w nie wsadzić ciekawskich palców. Wskakiwały na brzegi donic z bratkami i uciekały przed dozorczynią albo nabierały wiosennej wody do kubków po serkach homogenizowanych, dosypywały do niej ziemi i robiły nikomu niepotrzebną zupę. Po kilku dniach zostawiły kubki i ruszyły przed siebie.

Na końcu uliczki zatrzymały się niepewnie. Łapiąc równowagę na rozchybotanej ścieżce-prowizorce, ruszyły w stronę przystanku. Stał za kłębem kabli i stertą zardzewiałych blach; za nim, nad jezdnią, którą z rzadka jeździły samochody, kuciała kładka-pokurcz, przecinając w poprzek aleję starych topoli.

Za przystankiem natknęły się na budynek. Kanciasty, ochlapany świeżym tynkiem, jaśniał promieniami słońca odbitymi w wystawowych szybach. Podeszły bliżej i zauważyły małą postać opartą plecami o szybę. Wylizywała coś z zagłębienia ręki; na widok Beaty i Agnieszki podniosła ubrudzoną na pomarańczowo twarz, wysunęła otwartą dłoń i zapytała:

– Chcecie orężady?

Mieszkała w bloku, przy którym leżały zwoje kabli. Miała puste miejsca zamiast górnych jedynek, włosy mysiego koloru związane gumką recepturką i płaski klucz zwisający z szyi na czerwonym sznurku.

– Jestem Mania – powiedziała.

Weszły za nią do sklepu. W środku pachniało ścierką do podłóg i świeżym pieczywem, które leżało na drucianej półce nad dżemami. Mania wsadziła do koszyka pół bochenka i plastikowy worek z mlekiem.

– Jedzcie, póki świeży – powiedziała, urywając kawał skórki z częścią środka.

Poszły niezręcznie za jej przykładem. Chleb jedzony palcami był pyszny. Beata nie mogła nadziwić się, skąd w nim tyle smaku, i rwała następne kęsy, dopóki połówka nie znikła. Wtedy Mania wstała, otrzepała sukienkę z okruszków i wskazała drugą stronę ulicy.

– A tam już byliście? – zapytała.

Pokręciły przecząco głowami. Za blokami góry ziemi były wyższe i ciemniejsze.

– Tam mogą być niewypały, mama mówiła... – szepnęła Beata, ale Mania już ruszyła przed siebie.

Była niższa od nich i tak chuda, że widoczne pod bluzką łopatki poruszały się jak u małego kota. Poszły za nią łąką porośniętą pokrzywami i suchymi badyłami. Wkrótce straciły z oczu bloki i weszły na zryte maszynami pole. Nie było tu roślin ani budynków, a szelest folii z mlekiem brzmiał w panującej dokoła ciszy jak odgłos zaciskania wielkich szczęk.

Gdy dotarły do niecki, na której dnie majaczyła jakaś niedokończona budowla, Mania stanęła.

– Chcecie robić „widoczki”? – zapytała.

Mogłyby pod kawałkami szkła ułożyć kolorowe płatki, drobiny folii lub błyszczących kamyków, mogłyby włożyć tam martwego robaka, a potem przysypać całość ziemią, zakreślić palcami malutkie kręgi i odsunąć grudki ziemi. Tak robiły dziewczynki, które

chciały mieć wspólne sekrety, nawet rodzice uważali to za ładną zabawę pod warunkiem, że szkło nie miało ostrych brzegów i nie pochodziło ze śmietnika.

– Chcecie robić widoczki? – powtórzyła.
Nie odpowiedziały, wpatrzona w hałdę.

Nie poszły tam więcej tej wiosny. Znow wskakiwały na donice albo siadały pod klatkami i patrzyły na podjeżdżające wozy meblowe, z których mężczyźni wynosili stare łóżka, zgrabne tapczany, wielkie szafy lub niskie komody. Kobiety wietrzyły pościel na balkonach zawalonych zwojami linoleum i malarskimi drabinkami albo sadziły pelargonie do drewnianych skrzyń uczepionych parapetów. Z okien ciągnęły zapachy smażeniny i piski dzieci.

Kobieta, która do nich podeszła, miała białą bluzkę i spódnice w szkocką kratę, za rękę prowadziła identycznie ubraną dziewczynkę.

– Poznajcie się, to jest Magda – powiedziała. – Nie ma żadnych koleżanek, czuje się bardzo samotna. Pobawicie się z nią?

Magda uśmiechnęła się, a potem pomachała matce na pożegnanie.

– Mam mnóstwo koleżanek, ale na starym mieszkaniu – prychnęła, kiedy biała bluzka zniknęła w klatce schodowej. Wyciągnęła czyściutką gumę i rzuciła: – Skaczę pierwsza.

Beata i Agnieszka stanęły naprzeciwko siebie i włożyły nogi w gumę. Magda skakała, a one patrzyły na czarne lakierki, pozbawioną obcasów kopię butów matki, migające między białymi kreskami.

– Teraz ja – podniosła się z ławki Mania.

– Gramy do skuchy – wzruszyła ramionami Magda. – A ja jeszcze nie skusiłam, prawda?

Przesuwały gumę z kostek na kolana i z kolan na uda, aż Beatę rozboleły nogi od stania.

– Moja kolej – powiedziała, ale Magda nawet na nią nie spojrzała.

– Jak nie chcesz grać z nami, to nie musisz! Ona może trzymać gumę – powiedziała, wskazując Manię zgarbioną na ławce.

– Ja też chcę skakać – burknęła Mania.

Magda przystanęła i poprawiła kucyk.

– Wyliczajmy! Ene due rike fake, torba borba usme smake, eus deus kosmateus i morele baks! – dotknęła palcem białej bluzki z bufkami, o której mówiła, że jest „bukle”. – No i widzicie? Oliwa zawsze sprawiedliwa! Ja skacze!

Agnieszka wyjęła nogi z gumy, która sflaczała u stóp Beaty.

– Nie skaczesz, tylko odpadasz! – powiedziała.

– Wylicza się tak długo, aż zostanie tylko jedna!

– Co ty gadasz! – Magda zrobiła krok w tył i rozstawiła szeroko nogi w lakierkach. – Padło na mnie, jak nie wierzysz, to patrz: ene due rike fake, torba borba...

– Sama jesteś torba borba! – krzyknęła Agnieszka.

Magda otworzyła usta, a potem podniosła do twarzy ręce zwinięte w pięści. Wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale zamiast tego syknęła:

– Ja jestem „torba borba”? Jak chcecie skakać, to kupcie sobie własną gumę!

Parę dni później znów skakała, a guma migiała rozpięta między nogami dwóch dziewczyn, które dopiero się tu wprowadziły. Przydeptywała ją starannie,

nie patrząc na Beatę, Agnieszkę i Manię. Wzruszyły ramionami i poszły dalej, na trzepak.

Odkryły go na początku lata. Stał pod ślepa ścianą bloku – żółty, na dwóch metalowych nogach, podtrzymujących dwie poprzeczne belki. Wspiwały się po piramidzie ułożonej z resztek płyt chodnikowych, owijały nogami wokół chłodnego metalu poprzeczki i podciągnawszy się na rękach, siadały.

Pewnego dnia, gdy zwiślały z belki jak nietoperze, zobaczyły, że do trzepaka podeszła dziewczyna. Była wyższa od nich, miała potargane, sięgające pasa włosy, a w ręku trzymała błyszczącą piłeczkę na gumce. Chwilę się im przyglądała, przekrzywiając głowę, w końcu założyła gumkę na środkowy palec i zaczęła odbijać piłkę z taką szybkością, że widziały tylko rozmazany ruchem kształt.

– Nauczę was, ale najpierw pokażcie mi, jak wisieć – uśmiechnęła się, a jej usta widziane do góry nogami wygięły się w podkowę.

Zaczęły schodzić z trzepaka, ale zanim stanęły na ziemi, zza rogu wypadła zdyszana starsza kobieta, chwyciła dziewczynę za rękę i odciągnęła od trzepaka.

Przez kilka następných dni oglądały nową z daleka, jak w towarzystwie opiekunki chodziła po alejkach. Z gładko zaczesanymi włosami, ubrana w różowy płaszcz i dobrane pod kolor podkolanówki, szła, kołysząc biodrami, jakby tańczyła. Gdy mijała trzepak, spoglądała w przeciwną stronę. Podpatrzyły, że przedpołudniami wsiada do samochodu, jedyne, który oprócz śmieciarki i wozów meblowych wjeżdżał w ich ulicę.

– Jeżdżą do Łazienek. Szofer wozi ją i gosposię – powiedziała Magda, kiedy przestała się na nie gniewać. – Ma na imię Krzysia. Jej mama jest panią z telewizji, a tata piosenkarzem.

Gdy podbiegła do nich po raz drugi, znów miała potargane włosy. Pokazała im, jak odbijać piłkę, ale kiedy próbowały same, piłka uciekała, dopóki starczało gumki. Potem musiały ją oddać, bo znów przybiegła zadyszana gosposia. Ale następnego dnia podeszły do nich obie, a Krzysia powiedziała: „Pani Róża mówi, że jeśli chcecie się ze mną bawić, to musicie iść pod moją klatkę”.

Od tej pory pod okiem gosposi grały w gumę, odbijały piłeczkę, przymierzały pierścionki i jadły czekoladę z Peweksu. Mania przynosiła Krzysi torebki z oranżadą w proszku, Agnieszka ciastka z budyniem, które robiła niania, a Beata opowiadała o osiedlu, którego tamta nie mogła zobaczyć, bo pani Róża pilnowała, żeby nie odchodziła spod okna. Mówiła o trzepaku, na którym nikt nie trzepie dywanów, o przystanku, na którym wysiadają jadący z miasta rodzice, o kładce, którą przemierzają wieczorem jej babka i niania Agnieszki wracające do swoich mieszkań, o sklepie i wzniesieniu za blokiem, spłaszczonym na górkę dla dzieci, pokrytą żółknącą trawą o słodkawym zapachu. Na końcu wspomniała o hałdzie.

– Byłyście tam? – zapytała Krzysia.

Spojrzały na nią zdziwione – do tej pory raczyła się ciastkami lub czekoladą (nie widziały, żeby wylizywała oranżadę z zagłębienia dłoni) i bez większych emocji słuchała cichego głosu Beaty.

– Byłyście tam, na tej górze?

– Tam się nie da wejść – wzruszyła ramionami Agnieszka.

Krzysia uniosła brwi.

– Nie? A dlaczego?

Zamilkły i popatrzyły po sobie.

– Bo... bo nie – odparła Mania.

Krzysia przyjrzała im się uważnie.

– Poszłabym tam, gdybym była na waszym miejscu. Sama nie mogę, bo ona mnie pilnuje – skinęła głową w stronę okna, z którego wychyliła się właśnie pani Róża.

– Oobiad! – zawołała i schowała się jak kukulka do zegara.

– Same widzicie – odparła Krzysia, ignorując wołanie. – Was przynajmniej nikt nie pilnuje!

– Oobiad!

– Ale niania... – zaczęła Agnieszka.

Krzysia machnęła lekceważąco ręką.

– E, tam! Idźcie na hałdę – powiedziała i uśmiechnęła się do nich prosząco. – No, idźcie... A potem wszystko mi opowiecie.

Pod koniec sierpnia Krzysia zaprosiła Beatę, Agnieszkę i Manię na swoje dziesiąte urodziny. Mania zamiast recepturki miała na włosach kokardę, w której czuła się głupio, Beata czerwoną, trochę za szeroką w pasie spódnicę na szelkach, a Agnieszka niebieską sukienkę z białym kołnierzem, który uwierał ją w szyję. Pani Róża kazała im zdjąć buty, zaprowadziła do łazienki, gdzie umyły ręce, a potem ustawiła przed drzwiami dużego pokoju. Weszły, wypychając jedna drugą.

Mieszkanie Krzysi musiało być lustrzanym odbiciem ich mieszkań, ale ten pokój wyglądał, jakby

zgodnie z potoczną nazwą rzeczywiście był duży. Na sosnowych krzyżakach mebli kontiki rozpięte były kremowe poduchy, podłogę przykrywał jasny futrzak, a pod ścianami stał sprzęt grający i pudełko – malutki kolorowy telewizor.

Drgnęły, usłyszawszy za sobą dyskretnie kaszlenie. Kobieta w białym ręczniku owiniętym wokół głowy i szlafroku frotté otulającym szczupłe ciało przyglądała im się z bladym, pasującym do stroju uśmiechem.

– Krzysia tyle o was mówiła!

Przeszły za nią przez obwieszony lustrami przedpokój, minęły sypialnię z rozplaszczonym na podłodze, przykrytym futrzaną kapą łóżem i stanęły przed białymi drzwiami. Matka Krzysi otworzyła je, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pukanie. Oniemiały na widok różowych firanek podpiętych kokardami, owiniętego tiulem łóżka i różowych poduszek, o które opierały się lalki w długich sukniach. Komoda i fotel na biegunach pomalowane były na biało i tylko adapter stojący na niskim stoliku obok kolekcji płyt wydawał się nie pasować do reszty.

Krzysia stała pod oknem ubrana w białą sukienkę, na której koronki walczyły o lepsze z haftami, a na włosach, szyi i przegubach rąk połyskiwały ozdoby, których jeszcze nie widziały.

– Masz już swoich gości – uśmiechnęła się matka. Mówiła cicho, jakby bała się, że może kogoś obudzić. – Czekamy jeszcze tylko na Magdę, tak?

– Nie zapraszałam Magdy – burknęła Krzysia. Popatrzyła na szczupłe stopy matki i obróciła w palcach pięteczkę na gumce.

Matka ścisnęła mocniej pasek szlafroka.

– Wiesz, że to córka przyjaciół...

– Jest głupia.

– Skoro zaprosiłaś wszystkie siedmiolatki z okolicy, mogłaś pamiętać i o niej! – syknęła. – I wyrzucić wreszcie ten odpustowy śmieć – wskazała piłkę.

Zanim pani Róża, postępując z wysiłku, wstawiła do środka mały stolik na rzeźbionych nogach i zastawiła go porcelanowymi talerzykami, zdążyły obejrzeć większość lalek i miniaturowych serwisów do kawy, ukrytych w białych wiklinowych koszach. Krzysia zdmuchnęła dziesięć świeczek, a gosposia nałożyła im po kawałku tortu.

– Nie lubisz Magdy? – zapytała Beata.

Objedzone siedziały na puszystym dywanie, który Mania głaskała, kiedy myślała, że na nią nie patrzą.

– To gówniara – skrzywiła się Krzysia. Podwinęła nogi pod siebie, moszcząc się wygodniej w bujanym fotelu. – Myśli, że jak ojciec przywozi jej ciuchy z Zachodu, to jest ważna.

Z kuchni dobiegł szum wody i brzęk talerzy. Pani Róża sprzątała po przyjęciu. Krzysia drgnęła i spojrzała na nie uważnie.

– Zapisali mnie do szkoły baletowej – powiedziała. – Będą mnie też wozić na lekcje angielskiego i francuskiego, i jeszcze czegoś, nie pamiętam dokładnie.

– Będziesz tańczyć? – westchnęła Agnieszka.

– Nie będę już mogła się z wami bawić – przerwała Krzysia, marszcząc brwi. – Dlatego chcę, żebyście coś zrobiły... Coś, co będzie naszą tajemnicą. Waszą i moją!